



Nr 41.

Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie.

Rok I.

TPEŚĆ.—Elżbieta Drużbacka, przez Jana-Kantego Turskiego, (z portretem).—Płaki, wiersz, przez Antoninę Machczyńską. — Tajemniczy dom, powiastka, przez Zygmunta Gawareckiego, (ciąg dalszy, z drzeworytem). — Życie w puszczy; pamiętnik sprawiedliwego człowieka, opracowany przez Juljusza Starkla, (ciąg dalszy).—O koniu pod względem historii naturalnej, przez Adama Wiślickiego, (z drzeworytem).—O reperowaniu sukni bez igły i nici. — Rozmaitości. — Lekarz i pani, Szkic z życia Warszawskiego, (z drzeworytem).

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

Wiek XVII w piśmiennictwie polskim, pospolicie nazywają historycy wiekiem zepsucia smaku; i naznaczają w nim upadek literatury rodzimiej, skażonej wpływami cudzoziemskimi, a mianowicie francuzczyzny. Dwie po sobie następujące królowe polskie, rodem Francuzki: Marja Ludwika Gonzaga i Marja Kazimiera d'Arquien, otaczając się swoimi rodakami, i narzucając swój gust krajowi, którego władzcy uńózek ich korony swoje składali, nie mało także przyczyniły się do tego wpływu i w literaturze, będącej wyrazem ducha społeczeństwa, kierowanego wolą i potęgą dworu. Albo Marji Ludwice najlepszych chęci dla kraju, którego była królową, zarzucić nie można, lubo nawet jój tylko jedną przyznać trzeba, że się o skutki waleńnej elekcji, niewieścim swoim instynktem, obawiała i troszczyła, chcąc koniecznie za życia męża bezpotomnego, następcę na tron wyznaczyć; mimo to, bez jój winy i współdziałania, ale zbiegiem okoliczności, za jój już czasów, wpływ cudzoziemczyzny krzywił drogę, na którą literatura polska w złotym wieku Zygmuntoń wstąpiła; a piękna Marysienka doczekała się już czasów, w których Polakowi dbać o czystość swego języka, i o swoję rodzimą literaturę troszczyć się, poczytywano za prostactwo, gminność i po-

spolitość, zamykającą przystęp do dworu, a więc do tytułów i do godności. Lubo zaś z drugiej strony przesadzają tacy historycy, którzy wiek XVII w literaturze polskiej bezwzględnie potępiając, z urąganiem tylko niektóre dziwaczne tytuły z dzieł wówczas wydanych wymieniają — lubo z pośród tego chwastu, w jaki urodzajną była niwa literacka, zja-

wiły się przeciw dzieła język w czystości zachowujące, i (co wprawdzie rzadziej się zdarzyło), prawdziwem ogrzane natchnieniem, zawsze jednak była to smutna epoka w dziejach naszych, po której trzeba było zupełnej reformy i zupełnego odrodzenia, jakie zawdzięczamy Konarskiemu, aby dojść do tego, co się dopiero z początkiem XIX wieku pojawiło. Do wyjątkowych pisarzy tej smutnej epoki w polskiej literaturze, w której prócz Wespazjana Kochowskiego i Samuela ze Skrzypiny Twardowskie-



Elżbieta Drużbacka.—(Rysował Podbielski—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

go, bardzo mało imion zaszczytnych i szczerze zasłużonych wyliczyć można, mianowicie w poezji, do tych należy Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, niewiasta pobożności osobliwej, i cnót nieskażonych zepsuciem nowoczesnem, urodzona w roku 1687, w dawnem województwie Poznańskim. Pod okiem bogobojnej matki chowana, rozwijała swój młodociany umysł zasobami, podawanemi jój szczerą ręką miłości macierzyńskiej, i zacnych a dobrych ksiąg, do których wczesne uczuła w sobie za-

miłowanie. Silne też zrobiła wrażenie na młoda i wdzięczną Halszkę¹⁾ piękna i urocza natura, której cudnymi obrazami wzruszało się jej czule serduszko, strojąc swoje melodyjne struny do pieśni, którą później z takim wdziękiem wyśpiewała. Światem otaczającym młodą Halszkę, były okolice Wisłoki, przy której ujściu do Sanu w Sieniawie przemieszkiwała, w domu Sieniawskiego, kasztelana Krakowskiego. Przesłiczne więc okolice Rzeszowa, i Krosna—poblize uroczych Karpat, co taką śliczną wstęgą przewiały niebo ze ziemią... musiały na młode i pełne uczucia serce Elżbiety wpłynąć silnie i wrażennie, i im to zapewne nie jeden obraz z jej twórców zawdzięczamy, tak jak i u późniejszych piewców zawdzięczamy im taką pieśń o ziemi, takie legendy Tatrzańskie i takie tym podobne, a precudne baśnie, zaczerpnięte w czarodziejskim świecie Karpat. Z domu Sieniawskich poszła Elżbieta za męża, za Drużbackiego, skarbnika Żydaczewskiego, i zamieszkała odtąd w Rzemieniu w bliskości okolic swego pierwszego pobytu w Galicji, w pobliżu Rzeszowa. Oddając się ulubionemu czytaniu książek, chociaż stosunki z wielkim światem porobione w domu Sieniawskich, mogły ją być nęcić do rozrywek i uciech światowych, spędzała dni cnotliwego swego żywota w zaciszu domowym, zdala od zgiełku i przepychu, do którego wielki wstręt czuła, szczególnież też dla tego, iż zaprawiony na dworackim smaku francuzczyzną i cudzoziemczyzną, kaził obyczaj domowy i nieszanował cnot w niej zawsze drogich i świętych. To też nie mogąc się nigdy z tym hucznym i głośnym światem pogodzić, po śmierci męża, przeniosła się do klasztoru panien Bernardynek do Tarnowa, gdzie z prawdziwym spokojem i wewnętrznym zadowoleniem, swojej ulubionej oddawała się pracy, t. j. czytaniu, pisaniu i modlitwie. Zwyczajem oddawna w Polsce po klasztorach istniejącym, nie potrzebowała wykonywać ślubów zakonnych; a pomimo to wolno jej było zakonną sukienkę przywdziać. Długie lata w takim cichem szczęściu wytrwawszy i zasłynawszy tak ze swoich poezji, jako też szlachetnego i wzorowego żywota, zmarła w roku 1763, doczekawszy się 78 roku życia. Pochowana w Tarnowie, gdzie też w kościele katedralnym widzieć można napis na marmurze, jej pamięci poświęcony.

Stanowisko jej w literaturze, właśnie na ową smutną epokę wypadające, niezapreczenie na wysoki zasługuje szacunek. Zachowanie w czystości języka ojczystego wówczas, kiedy do około wszystko siliło się niemal, aby go zepsuć i sfrancuzić, celem przypodobania się królowej, przynosi nie małą zasługę kobiecie, której nawet, pod tym względem zawsze się więcej przebacza. Drużbacka nie tylko nie dała się porwać prądowi zepsucia, ale dostrzegając je na około siebie, karciała je silnymi słowy rozżalonego uczucia. Oto są jej własne słowa, któremi satyryczny obraz niemoralności niewiast zakończyła:

Nie miejcie za złe, że was rozpuszczonych
W swywoli, sądzą: polskiemu narodu
Krzywdę czynicie; z siebie śmiechy, żarty;
Honor wasz płacze, że goły, wytarty.

Satyre tę napisała Drużbacka, zgorziona niezwykłą ochotą kobiet do rozwodów, których sama pojąć

¹⁾ Halszka jest zdrobniałe imię Elżbiety.

nie mogła, jako w religijnych i moralnych zasadach wychowana.

W dziejach literatury polskiej tak określonem zostało jej stanowisko. „Wychowana i żyjąca na wsi, nie znała żadnych obcych języków, ale znała gruntownie całą z upłynionych wieków literaturę ojczystą. Ta ją potrafiła wykształcić, oзнакомиła ją jak z mitologią, tak z literaturą rzymską i grecką; a przy uczuciu poetyckiem w sercu, stanęła odrazu jako jedyny i najlepszy narodu swego poeta. Potrafiła zrzucić z siebie zarzę wieku współczesnego, i pisała najczystszej jak na owe czasy polszczyzną.”

Wszystkich jej pieśni najgłówniejszą cechą jest głębokie uczucie religijne, i ten prawdziwie chrześcijański spokój, jaki tylko czystych dusz może stać się udziałem. Wiersz jej nastrojany pięknoscą i urokiem natury, w której cudach, upatrywała wszędzie najwznioślejszego światów ideału—t. j. Boga, jest tak piękny i skończony co do formy, żeby i z dzisiejszych poetów, i to znakomitszych, nie jeden nie powstydział się go przyjąć za własność. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia chociaż początku, precudnego opisu Wiosny, Drużbackiej.

Natchniona poetka tak go rozpoczyna:

O! złoty wieku w postaci dziecinniej,
Wiosno wesoła, toć się pięknie śmiejesz,
Wszystko twój ujdzie płochości niewinnej,
Czy chłodem dmuchasz, czyli chłodem grzejesz;
Wolność jak dziecku dla swojej zabawki
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecie choć straszysz, nie uczynisz szkody,
Ni skrzeplem zimnem, ni przykrém gorącym.
Przyjemna pora, czas miły, czas młody,
Na swą umowę z powietrzem i słońcem:
Wie kiedy zagrzać, wie kiedy ochłodzić.
Ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić,
Ty ukowaną i ściśnioną ziemię,
Od tęgich mrozów uwalniasz z niewoli,
Jak córka matki, kochająca plemię,
Kajdany zimne rozpuscita powoli.
Potem zaś bliższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowej więzy, więzienia wyprowadzi,
A po tyrańskiej zimowej opiece,
Pozwalasz ziemi odetchnąć swobodnie i t. d.

Ile tu prawdziwego wdzięku! jaka to prawdziwa ciepła poetyczność! To rozkoszowanie się naturą, dowodzące bogactwa jej uczuć, właściwym jest charakterem poezji Drużbackiej. Ta rodzinność, to ukochanie swojego zakątka, znamionuje człowieka szczęśliwego, i przestającego na tém, co posiada.

Oto np. jak śpiewa:

Lasy kochane, zielone chodniki,
Drzewa przyjemny szum dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegnące strumyki,
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie.

To ostatnie wyrażenie, w takiej tylko szczerze uczucia swoje wypowiadającej wieszczce jak Drużbacka, poczytać można za prawdę, i nienazywać go przesadną egzaltacją, w skutek której i dzisiaj czytać się zdarza, że ten lub ów poeta wołałby *chatkę w lesie*, aniżeli pałac na Krakowskim-Przedmieściu.

U Drużbackiej wszystko technie prawdą; każde uczucie wypowiedziane w wierszu, jest jej własne; nie pożyczają go z ksiąg cudzych, ani też nie deklamowała z teatralną sztuką.

Na takim jednak stojąc stanowisku, i tak poważnie obchodząc się z lutnią, w spuściznie po Kocha-

nowskim odziedziczoną, jedną się tylko nie mogła oprzeć słabostce wieku, panującej powszechnie w całym kraju, t. j. pisaniu panegiryków. Dobrze jeszcze przynajmniej, że je wymierzała do osób, powszechniej doznających chwały, i z szczerą około dobra kraju znanych zasługi. I tak pisała Drużbacka panegiryki dla Sanguszki, Lubomierskiego, Andrzeja Żałuskiego; a widząc usiłowania Augusta III zwrócone ku podniesieniu oświaty w Polsce, i temu królowi kadziła także słodkimi swemi rymy.

Zwrot ten jednakże na niekorzyść Drużbackiej nie może być tłumaczony. Bo, gdy innym piszącym, do panegiryków, (często nawet bezwstydnym i nie miłych je odbierającym) natchnieniem były widoki i prosty materialny interes, ona kierowała się najszerszą tylko wdzięcznością, za udzielane sobie, albo też (co prędzej) współbliznim swoim przysługi. Tak np. do Andrzeja Żałuskiego napisała pochwałę i panegiryk za to, że utworzył bibliotekę publiczną w Warszawie, i oczyścił miejsce cudowne, i sławne w dziejach Polski, Częstochowę, z oszustów opętanych. Jeżeli więc zesła się przypadkowo z modą, to jednak za to nie należy jej słabej strony w tym upatrywać.

Dzieła wszystkie Elżbiety Drużbackiej, wydane po raz pierwszy w r. 1752, ukazały się w przedruku z portretem poetki u Breitkopfa w Lipsku 1837, w wydawnictwie Biblioteki kieszonkowej klasyków polskich.

Wszystkie jej prace dadzą się podzielić na trzy części. Do pierwszej należą: Poezje *sielankowe*, do drugiej *satyryczne* i *światowe*, a do trzeciej *religijne*. Z pomiędzy sielankowych poezji Drużbackiej wymieniamy tu *Opis czterech pór roku* i *Pochwałę lasów*; z satyrycznych większymi utworami są: *Skargi dam*, i *Awersja pewnej damy, całe życie bawiącej u dworu*, (w której to awersji dużo jest aluzji do zbytków i zagranicznej mody, sprowadzonych i wyuczonych przez cudzoziemkinie.....), a za światowy poemat poczytują: *Fabulę o Adolfe księciu Roxolanji*; do utworów zaś religijnej treści należą: *Pokuta św. Marji Egipcjanki*, *Pokuta świętej Marji Magdaleny*. Na obraz ścięcia S-go Jana Chrzciciela, opisanie życia Świętego Dawida, króla Izraelskiego, i *Historja Chrześcijańska księżnej Elefantyny*, dowcipnym przemysłem J. M. Pani Elżbiety Drużbackiej, w Poznaniu w drukarni akademickiej roku 1769, wydana.

Te są wszystkie znakomitsze dzieła pierwszej poetki i literatki, której przedewszystkiem należy się cześć i poszanowanie za to, że w wieku zepsucia języka, smaku i obyczajów, była wzorem i smaku najwznoślejszego dała dowody w pieśniach, a języka czystości była zachowawczynią i obrońicielką.

J. K. Turcki.

P T A K I.

Już gaśnie zimy łuczywo,
Ale jeszcze wietrzno, chłodno;
W chacie smutno, niewygodno,
Wiosna idzie, lecz leniwo.
— Wyjdźże synu, stań nad drogą,
Czy nie widać z gości kogo.
— O mój ojcze, po nad lasem,
Co się ciągnie długim sznurem,
Ćma jaskółek czarnym pasem,
Czarnym pasem, czarnym sznurem,

Daży z wschodu, zlaną rosą,
Bijąc w skrzydła, co ją niosą.
— Rzuć im słomy, rzuć im ziarna;
Niechaj strzecha gospodarna
Da czem z drogi się pokrzepić,
Da im z czego gniazdo zlepić.
Chwała Bogu! dobre proso;
Otóż dziobią, otóż radzą.....
Pewnie się tu z gniazdkiem wsadzą,
I pod strzechę szczęście wniosą.
Niech się gnieźdzą! Niech bogate
Wróżą plony, pełne brogi,
A ty synu, wyjdź przed chatę,
Czy nie nadszedł znów kto z drogi.
— O mój ojcze! za wierzbami,
Co warkocze w strudze moczą,
Idzie bocian i z družbami,
I z družbami, co klekoczą,
Wyciągając szyje długie,
Po nad łąki, po nad strugę.
— Radość serce rozwesela!
Koło z woza kładź na sosnę,
Dla przyjęcia przyjaciela,
Niosącego ziemi wiosnę.
Aż staremu dziś wesoło,
Wyglądając z domu bramy:
Patrzaj synu—spadł na koło,
Dzięki Bogu! gościa mamy!
— Już zablysnął cichy dzionek,
Już wychodzą z chat wieśniacy,
Otóż wzleciał i skowronek,
Ów dzwoneczek ranniej pracy.
Dzwoń na trudy, dzwoń pod niebem,
Nucąc nam pod gwiazdek progim:
Że nie dosyć iść za chlebem,
Trzeba pracę łączyć z Bogiem.
— Coraz jakoś ciepłej z wiosną,
Zboża rosną, kwiaty rosną;
Ziarno słodkie, krasne maki,
Jest czem żywić lud i ptaki.
— Ojcze, ojcze, w gaj nasz świeży,
Pierwszy słowik z pieśnią bieży;
Mrok zaledwie zapadł wczora,
Jego nuta brzmiała skora.
— Słuchaj synu, słowik dzwięczny,
To jest lutnia Marji Panny;
To majowy hymn miesięczny,
To pacierz wonnej dąbrowy,
To wtór modlitwy majowej.
Staw mi ławę u drzwi chaty,
Niech złożywszy pług i sochę,
Zlany potem, zgięty laty,
Przy tej pieśni spoczne trochę.
Z nią łąka lżejsza, myśl rozczula...
Słowik budzi ponad strzechą,
Jagiellońskich wieków echo,
I starego pamięć króla,
Który po trudach w dni owe,
Śród tej pieśni złożył głowę.
— Ojcze, ojcze, czy słyszcicie?
Już przepiórka nisko w życie:
— „Pójdźcie żać” woła i leci,
— Więc do sierpów zwawo dzieci!
Żnijmy zboża w letnej ciszy!
To ostatnia już ptaszyna,
Co rolnikom towarzyszy,
I czas pracy przypomina.
Dalej chłopey, dalej dziewczki!

Nie zapomnieć kos ni śpiewki!
Wieńców, wieńców, chęć młodzińce,
Toż po żniwach będą wieńce.

—Dni za dniami, tak się wleka,
I już jesień niedaleko,
Coś ci ojciec smutno w domu!
Lzę ocierasz pokryjomu:
Niesiesz ogień, grzejesz szaty.

— Patrzaj synu przed drzwi chaty!
Toć niedawno lżą radości,
Witaliśmy naszych gości;
A dziś wszystko gdzieś ucieka,
I sierotą rzuca człeka.....
Krasne piórka, skrzydła, pieśni,
Gwar wesoly, znikły w słotę,
Jak te urojenia złote,
Które pierwsza młodość prześni.....
Nawet liści suchych stado,
Od gałęzi odlatuje,
I odbiega gdzieś gromada,
Nim je wiatr porozsypuje.
Tylko człek śród zwędłych krzewów,

Depce, niby śród cmentarza;
Tęskniąc do róż, dzwicznych

[śpiewów,

Co mu młodość przypomniały,
Młodość, którą u ołtarza,
Myśl zawieszona, jak kwiat biały.
Zamknij synu, śpichrzy wrota,
Już nas ptaszek nie odwiedził...
—Ojciec, szary wróbel siedzi
U okna i wciąż świergota.
Najwierniejszy druch narodu,
Został twą weselić chatę;
Nie na ranki w kwiat bogate,
Lecz na dnie zimna i głodu.
— Więc mu ziarno syp gar-

[ściami,

Niech w słomianej śpi pościeli;
Kto na troski został z nami,
Niech i chleba resztę dzieli.
Synu drogi, ten ptak szary,
To jest przyjaźń, co nie zdradzi;
Chociaż znikną losu mary,
Aż do grobu cię prowadzi.

Toż z nim raźniej pośród siola....

Nie tak straszno, gdy z dzwonnicy.
Stary puszczyk śmierć obwoła,
„Pójdź!” wołając z nad kaplicy.
Nie drżij synul... spojrzij w skrusze,
Zapał lampę, klękniij ze mną;
W noc zaduszną strasznie ciemno!
Zmówmy pacierz za wszech dusze.

Antonina Machczyńska.

TAJEMNICZY DOM.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 37 do 40).

Dziękuję za dobroć szanownego pana, odpowiedział mi sucho, ale żadne pocieszenie nic mi nie pomoże, a ja sam zresztą będę już wiedział jak sobie mam w swym smutnym losie poradzić. To powiedziałwszy oddalił się odemnie.

We dwa dni później, pan Piotr przechadzał się w lesie nad rzeką, kiedy posłyszał kroki człowieka przybliżającego się do niego w tym samym kierunku. Usunął się więc na bok, chcąc poznać kto by to był takowy. I wkrótce zobaczył on Lyo-

nela wychodzącego z zarośli, i dążącego prosto ku rzece, której brzeg jest właśnie w tém miejscu urwisty, a rzeka głęboka.

Stanąwszy nad stromym brzegiem Lyonel popatrzył się w Niebo, na jego twarzy zaigrał ów gorzki uśmiech, jaki to mają ci ludzie, co wiele cierpią, co wielkie straty ponieśli. Popatrzywszy tak chwilkę, zawołał:

O Marjo, znówu się przecie złączymy, i zrobił ruch, chcąc skoczyć z téj znacznej wysokości w wodę. Ale w téj chwili schwytały go jakieś ręce w pól i nie dozwoliły mu dokonać tego rozpaczego zamiaru, jaki spełnić przedsięwziął. Lyonel z początku był zmieszany, zdziwiony, ale przytem i nadzwyczaj oburzony, że znalazł się ktoś taki, co go zatrzymał na drodze do wieczności. Powoli jednak zaczął się uspokajać, tem bardziej, że pan Piotr umiał go ułagodzić i zająć, co mu tem łatwiej przyszło, skoro poznał, że ten nieszczęśliwy z nadmiarem boleści po stracie tak drogiej, popadł w obłęd, który można tylko uleczyć, podstawiając jaką inną na ję miejsce. Aby go więc wyleczyć z manji zabicia się,

jaka go opanowała, pan Piotr postanowił trzymając się zasady, że klin klinem się wybija, nasunąć mu inną myśl, któraby go wyłączyła zająć mogła. Dla tego też zapytał go się:

— Słyszałeś pan o metampsychozie!

— Nigdy! odpowiedział Lyonel.

— Jest to nauka dawnych filozofów, utrzymująca, że duchy czyli dusze przenoszą się z jednego ciała w drugie, kiedy to pierwsze obumiera. Wielu ludzi wierzyło w tę wędrowkę duszy, nawet do dzisiejszego czasu jeszcze wierzy. Historia wiele podaje przykładów podobnej wiary. Jeden

nawet z cesarzów greckich wzbronil zabijania gołębi w swem państwie, ponieważ mniemał, że dusza jego córki taką nową postać przybrała.

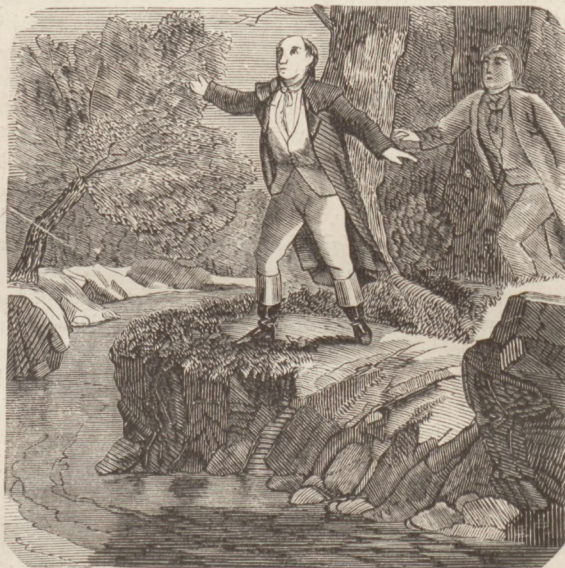
— Inny znówu z cesarzów niemieckich, sądząc, że zmarły duch jego syna wstąpił w sokoła, zakazał strzelania do tego drapieżnego ptaka. O, historia jest pełna mniemań i to już od najdawniejszych czasów. Nawet były dawniej, a nawet i teraz są jeszcze niektóre religije w Azji, oparte na doktrynie przechodzenia dusz z jednego ciała w drugie.

— I wedle tych praw metampsychozy, to i duch mojej Marji zmieniłby tylko siedlisko, przerwał Lyonel.

— Być może.

— I gdzieżby on teraz zamieszkał?

— Trudno tak zaraz wiedzieć. Może on obrał sobie siedlisko w téj drżącej gwiazdce, której srebrne światło odbija się w rzece, w którą wskoczyć chciał. A może też duch twój Marji ożywia tego ptaka, który tam śpiewa pomiędzy krzewami. Albo może wyjdzie on w kwiecie, który wyrośnie wkrótce na grobie Marji, który opuścić chciałeś, zamiast czekać i u stóp jego swoje cierpienia i nadzieje składać.



Chcąc skoczyć w wodę.—(str. 328, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Kuczyński).

I temi słowami załagodzony Lyonel, dał się wprowadzić panu Piotrowi do jego domu. I oto widzicie ten człowiek, którego wy oskarżacie o czary i Bóg wie o jakie występki tajemne, ocalił życie człowiekowi, którego odtąd pielęgnuje w swym domu, nie szczędząc mu żadnych starań.

Po przybyciu Lyonela do mieszkania pana Piotra, słabość go opanowała ciężka, w której trudno się było spodziewać polepszenia, gdyż do cierpienia ciała, połączyły się jeszcze cierpienia duszy, które trudniejszymi zawsze są do uleczenia. Pan Piotr widząc, że niebezpieczeństwo wzrasta, postanowił uleczyć wprzód chorego ducha, bo od tego przede wszystkim zdrowienie ciała zawisło. Było to jakoś w ośm dni po zamieszkaniu Lyonela w domu pana Piotra, kiedy ten ostatni przyszedł do niego i powiedział: Wstań i chodź ze mną.

— Dokąd to mię chcesz zaprowadzić?

— Na grób Marji.

— Ach! prawda, jak ja go już dawno niewidziałem. Ale cóż tam będziemy robić?

— Chciałem ci pokazać, że prawdę mówiłem, że duch Marji żyje, tylko obrał sobie inne siedlisko.

Lyonel zerwał się szybko, zdawało się że mu nowe siły przybyły i wkrótce wyszli obydwa, aby zobaczyć miejsce, gdzie spoczywała Marja.

— Patrz Lyonelu, na grobie twój Marji, który kazałem darniną obłożyć, jaka piękna stokrotka z natury sama wyrosła. To w nią wstąpił duch twój żony, która tym sposobem chce ci okazać, że pamięta o tobie, i że pragnie abyś ją często odwiedzał.

Lyonel padł na grób swój Marji; łzy obficie popłynęły mu z oczów, i tym sposobem zdrowie tak jego ciała jak i duszy zostało ocalone, łzy mu bowiem ulgę przyniosły.

Bytność człowieka bladego, w domu pana Piotra, została wytłumaczoną, ale pomimo tego zgromadzeni mieszkańcy, mieli jeszcze inne kwestje do wyjaśnienia, które budziły wielką w nich ciekawość.

A kwestje te tak sobie przedstawiali: Dla czego pan Piotr ma zatknięte krzyżyki na tej skrzyneczce, co ją posiada w swym domu? Dla czego w pokoju Gertrudy wszystkie przedmioty posiadają głowy poucinane? Co on robi w nocy, wyjeżdżając zawsze po odebraniu jakiegoś listu, z wielką czerwoną pieczęcią? Z czego on się utrzymuje?

To wszystko, pomimo tego, że ksiądz proboszcz solennie zapewniał, że pan Piotr jest poczciwym człowiekiem, nasuwało o nim różne domysły mieszkańcom miasteczka. Jedni przypuszczali, że najpodobniej miał nieczyste stosunki z kusicielem rodu

ludzkiego, gdyż przed kilkudziesięciu laty zaborców było więcej daleko, niż ich dziś pomiędzy ludem nieoświeconym widzimy.

Inni światlejsi znawcy, co już trudno im wierzyć było w schadzki diabła z panem Piotrem, sądzili, że musi się zajmować jakimś tajemniczym kunsztem np. fabrykowaniem fałszywych pieniędzy, albo też czemś podobnym.

Tymczasem pan Piotr mało troszcząc się o to, co o nim myślą jego sąsiedzi, powrócił po swym wyjeździe nazajutrz przed wieczorem. Był bladszy i smutniejszy niż zwykle. Gertruda wyszła przed sięn przywitać go i odebrać konia.

— No i cóż, kochany panie, zawołała ze śmiechem wedle swego

zwyczaju; a dobrze tam wam poszło?

— Niestety! bąknął smutnie pan Piotr.

— Jakoś się pan szybko załatwiłeś.

— Daj mi pokój, moja kochana, nie przypominaj mi o tych okropnościach.

Słowa te, które słyszeli podsłuchujący z zapłotu sąsiedzi, obudziły w nich znowu nowe domysły, które przybrały jeszcze tem dziwniejsze kształty, skoro spostrzeżono u pana Piotra koszulę krwią spryskaną.

Niedługo noc nadeszła i pan Piotr, zanim się położył, pozamykał sam dobrze drzwi i odprowadził spac Gertrudę, która tego wieczoru zdawała się być welszą niż zwyczajnie.



(Rysował Kossak—wycięto w drzeworytni Przyjaciela Dzieci).

Potem wyrzął przez okno, czy go kto nie podgląda, ale na dworze wszystko było spokojne i milczące.

Tak zapewniwszy się, że nikt go nie szpieguje, wydobyl z kieszeni pukiel czarnych włosów, włożył je w zrobiony otwór w ziemi, napełniającej skrzyneczkę. Poczem otwór ten zasypał ziemią i utkwil na niej nowy krzyżyk, podobny do tych co już uprzednio dawniej zatkniętemi były. A skoro to już ukończył, padł na kolana przed tą skrzyneczką z krzyżykami i mówił na głos załamując ręce:

O Boże! ty znasz serce moje i wiesz, że nie pragnę krwi przelewu. Jeżeli musiał dzisiaj uderzyć mego bliźniego, to odpuść mi to o Panie! o zmiłuj się nademną nieszcześliwym i w miłosierdziu Twojem przebac jemu także grzechy i przyjmij go do siebie. Boże zmiłuj się nad nami obydwooma.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA,

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 35 do 40).

Pierwszy raz slyszalem ja o tem od Tomasza, a będąc ciekawy i na coś dalszego, rzekłem:

— No, to jedno powietrze! Ale cóż ma słońce do wody i do ziemi?

— A jeszcze więcej ma niż do powietrza! odparł żywo Tomasz. Bo powiedz mi, z kąd rzeki wodę biorą?

— Z innych małych potoczków odparłem.

— A z kąd te potoczki wodę biorą?

— Ze źródeł.

— A z kąd te źródła wodę biorą?

— Z deszczów.

— A z kąd deszcz wodę bierze?

— Z chmur.

— Ale z kąd chmury wodę biorą? Zapytał wreszcie Tomasz.

Zamilkłem tutaj, bom nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, czy z Nieba czy z kąd? nie wiedziałem z pewnością.

— Aha, nie wiesz! zawołał Tomasz śmiejąc się. No to poczekajże, zrobimy inaczej. Powiedz mi, dokąd rzeki płyną?

— Do innych większych rzek, odparłem.

— A dokąd te inne rzeki płyną?

— Do morza, jak mówią ludzie.

— A dokąd woda z morza płynie?

— Do innego morza, odrzekłem, nie wiedząc już co mówić.

— Ale wszystkie morza mają brzegi i wszystkie są pełne, a przecież jak ty żyjesz i jak twój dziadek żył, to woda ciągle płynie i płynie bez końca, toż powinna już była dotychczas całą ziemię na kilka sążni wysokości zalać. Gdzież się więc woda z morza podziewa?

Zaczerwieniłem się od wstydu, lecz nic nie rzekłem, bom nie wiedział.

— Aha! nie wiesz! zawołał znowu Tomasz. Więc powiedz mi, co się stanie z wodą, jeśli garnuszek z nią w ciepłym miejscu, tak naprzykład na węglach żarzących postawisz?

— To się będzie gotować, odrzekłem.

— A jeżeli się tak długo będzie gotować i wygotuje, to cóż się w garnku zostanie.

— Juźci nie, zawołałem.

— A jeżeli ty weźmiesz trochę wody do garnuszka i postawisz ją na słońcu w południe, to co?

— To woda wyschnie i w garnku także nie zostanie, odrzekłem, miarkując sobie już coś w głowie.

— A gdzież się ta woda podziała przy gotowaniu i schnięciu? pytał jeszcze dalej Tomasz.

— Przemieniła się w parę i poszła w powietrze, rzekłem.

— Dobrze, odezwał się Tomasz! Wyobraź więc sobie morza i rzeki jak garnuszek z wodą, na który słońce świeci ogrzewając go; to z morza i rzek będzie woda wysychać powoli, czyli będzie się przemieniać w parę uchodzącą w powietrze. Wiesz atoli, że gdy para się w zimnym miejscu ochłodzi, naprzykład na szybie okna, to masz z niej znowu wodę więc i owa para uchodząca z rzek i morza, chłodzi się w górze, i robią się z niej chmury, któremi wiatry tu i tam poganiają. A skoro w jednej takiej chmurze więcej się wody nazbiera niż wiatry utrzymać zdołają, wtedy spada na ziemię deszcz, tak potrzebny i niezbędny dla pól zasianych i łąk. Deszcze bywają w górach najczęstsze i najmocniejsze. Otóż, gdy w górach dużo wody z deszczów się nazbiera, wtedy wsiąka ona w ziemię szparami i rozpadlinami, zbiera się razem we wnętrzu gór, potem wytryska z nich jako źródło i cieknie jako potoczek, z kilku takich potoczków bierze wodę rzeka, kilka mniejszych rzek dostarczają wody wielkiej rzecze, która płynie do morza, a na tę wszystką wodę świeci znowu codzień słońce i ciągnie ją w chmury. Takie koło z góry na dół i z dołu do góry, robi woda już od tak dawna, jak dawno świat stoi. A czyby się to wszystko mogło dziać, gdyby nie było słońca?

— Prawda! zawołałem zadziwiony, wyrozumiawszy już wszystko.

— Zobaczysz teraz, odezwał się znowu Tomasz, jak wpływa słońce na ziemię samą, jako na trzeci pokarm roślin i zwierząt. Oto nie działa tu słońce samo przez się, ale działa przez powietrze i wodę, które jakes widział, bez słońca istnieć by nie mogły. Powietrze i woda taką mają siłę nad skałami i kamieniami, że one wietrzeją i rozszypują się w ziemię. Bardzo powoli się to dzieje, lecz w długich latach uważałem ja nieraz, że i najtwardsza skała wietrzeje na powietrze, a woda wymula z niej owe zwierzęte cząstki i niesie na pola. Na taką ziemię z kamieni zwierzętych powstała, działa znowu deszcz i inna wilgoć ziemna w ten sposób, że niektóre cząstki z tej ziemi rozpuszcza i rozpuszczone korzeniom roślin za pokarm daje. Rośliny niemogłyby żyć bez tego, a rośliny to przecież pokarm zwierząt, rośliny i zwierzęta to pokarm człowieka. Widzisz więc: że bez słońca, to jest bez światła i ciepła, którem słońce sieje, nie mogło by być najprzód czystego powietrza, nie byłoby więc czem oddychać roślinom, zwierzętom i ludziom; bez słońca nie byłoby deszczu i rosy roślinom tak potrzebnej, niemiałby człowiek wody po źródłach i rzekach i niemogłby żyć bez niej; bez wody wreszcie i bez powietrza nie mogła by być ziemia urodzajną, nie rosłyby na niej żadne rośliny, a więc i pożywienia żadnego nie byłoby dla zwierząt i ludzi. Czyli krótko mówiąc, gdyby nie było słońca, niemogłaby ziemia być taką jak jest dzisiaj, ze wszystkimi stworzeniami, które się na niej znajdują.

Przestał mówić stary Tomasz i chwilkę szliśmy spokojnie; nagle zapytał mię:

— Jeżeliś dobrze na to wszystko uważał, com ci tu powiedział, więc wytłumacz mi, dla czego się rolę orze, chcąc żeby była urodzajną?

Nie spodziewałem się tego zapytania; pomyślałem więc małą chwilkę i rzeknę:

— Rośliny wysysają pokarm z powierzchni ziemi tak głęboko, jak długie są ich korzenie; gdybyśmy więc rzucili ziarno na rolę niezoraną, z kąd się dopiero sprzątnęło, toby to ziarno nie miało się czem nakarmić we wyssanej roli. Na to jest więc orka, ażeby wydobyć na wierzch ziemię niżej leżącą, niż korzenie poprzednich roślin sięgały, gdyż tę wyrzuconą, surową lecz nie wyssaną ziemię, rozkrusza powietrze i deszcz, czyniąc ją zdolną do wykarmienia rośliny.

— Mówisz mój chłopcze jak z książki! zawołał Tomasz uradowany. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

O KONIU POD WZGLĘDEM HISTORJI NATURALNÉJ.

Jeżeli rzucimy okiem na wielką przyrodzoną gromadę zwierząt, właściwie żyworodnych ssących, rozpadnie się ona, ze względu na ukształcenie swych członków chwytnych i chodnych czyli rąk i nóg, na dwie gałęzie: pazurowate i kopytne. Cecha ta, którą natura w tak widoczny sposób odznaczyła, ma wielki wpływ na cały ustrój zwierzęcia i na jego wewnętrzne instynktowe przymioty. Zwierzęta pazurowate posiadają członki chwytne, wielostawowe, a przytem czułością obdarzone i sposobne do pewnych prac, które rozwija wrodzony instynkt. Przeciwnie, zwierzęta kopytne mają członki przednie zakończone rogową pokrywą, która żadnych niemi prac wykonywać nie dozwala. Ztąd też zmyślność tych stworzeń przytepiona, wybitniejsze z owęj ogromności budowy, ocieżalości, co nawet spowodowało niektórych naturalistów do nadania im nazwy: *ociężałych* (*betulae*) lub też *grubo-skórnych* (*pachderma*). W gromadzie tej jednak, jakby dla usprawiedliwienia, że wszędzie musi być wyjątek, mieszczą się także zwierzęta, które zdawałoby się winny być bardzo upośledzone, a przecież należą do najszlachetniejszych i najzmyślniejszych stworzeń. Tworzą one rodzinę jednokopytowych (*solidungula*), którą wypełnia piękny i tak użyteczny rodzaj *konia*. Jest on jedynym w tym rzedzie i nie posiada obok nic podobnego, lubo w dawniejszych periodach naszej ziemi istniały zbliżone do koni zwierzęta.

W obec powszechnéj znajomości konia, czujemy się wolni od opisywania jego cech zoologicznych, owym językiem naukowym, stworzonym przez systematologów; gdybyśmy powiedzieli, iż konie mają u góry i na dole po 6 zębów przednich, 12 trzonowych i 2 kły, że ich żołądek prosty trawi tylko rośliny, że ich uszy są długie, ruchome a oczy wypukłe, że żrenica pozioma, nozdrza duże, ruchome, język gładki, czytelnik, nieznający konia nie utworzyłby sobie o tem szlachetnem zwierzęciu najslabszego nawet wyobrażenia. Trzeba bowiem dopiero widzieć konia, żyć z nim, aby zrozumieć tę uwagę znakomitego naturalisty Bufona: „iż przyswojenie konia jest najpiękniejszą zdobyczą, którą przemysł i rodzaj ludzki mógł dokonać na zwierzętach.” Niedziwno nam przeto wcale, iż obłaskawienie tego szlachetnego stworzenia ginie w mgłach wieków, a bezwątpienia sięga pierwocin rodu na-

szego. Tem to pewniejsze, iż ojczyzna konia i człowieka wspólna. Jakkolwiek z niektórych miejsc księgi rodzaju, dałoby się wywnioskować, że zdobył ten ród ludzki winien Egipcjanom, to przecież Azja zdaje się najbardziej przyrodzoną kolebką konia. Nadto nie ulega wątpliwości, iż użycie osła poprzedziło ułaskanie konia. Spokojne i mniej pojętne to zwierzę, jakby stworzone do klimatów wschodnich, jest gatunkiem w rodzaju konia, od którego różni się mniejszym wzrostem a wielkimi uszami, jakie mu malowniczą nazwę kłapoucha zjednały. Osioł dziki, zwany *kulanem*, żyje na stepach Tartarji i Mongolji, z kąd w jesieni ciągnie do Persji i Indji. Od niego pochodzi osioł domowy. Przejściem z osła do konia, oprócz powstających z połączenia tych dwóch zwierząt *mulów*, jest tak nazwany koń tatarski (*Equus hemionus*), żyjący na równinach Mongolji. Lecz gatunek ten tak dziki, iż dotychczas nie dał się oswoić i obłaskawić.

Czy istnieje dzisiaj pierwotny koń dziki? Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć; gdyż najpierwsi naturaliści nie zgadzają się nawet w swych zdaniach. Wprawdzie na obszernych stepach azjatyckich, znajdują się liczne stada koni dzikich, lecz nie to nie dowodzi, gdyż konie obłaskawione już, pozostawione same sobie, dzieczej. Przykładów tego nie braknie. Przed odkryciem Ameryki, nie było tam koni, a dziś na wielkich równinach Kolumbji i Laplata, bujają swobodnie stada, po kilka tysięcy sztuk. Toż samo i w Australji. Co więcej, w bliskości nas, na stepach nad-Dnieprzańskich w dawniejszych czasach, a nawet poniekaąd i dziś, dawały się widzieć tak nazwane *tabuny* dziedzicznych koni. Według naszego naturalisty Rzączyńskiego, konie zupełnie dzikie miały się znajdować w Litwie i na Ukrainie, około Humania, Jahorlika i Czehrynia, jeszcze w zesłym wieku. Zdaje się jednak, ile sądzić można z opisu, były to dzikie osły.

Badając obyczaje koni na wolności, spostrzegamy je zawsze żyjące gromadami w towarzystwie. Tym sposobem tworzą stada, którym przewodniczy samiec; pilnują się ściśle pewnych okręgów, które gotowi bronić jak swoją własność przeciwko napadom obcych. Obroną ich od dzikich zwierząt są kopyta i zęby. Tatarzy w Azji a Indianie w Ameryce korzystają z tych stad i umieją objeżdżać najdziksze tabuny, co stanowi sztukę zarówno godną podziwu jak niebezpieczną. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

O reperowaniu sukni bez igły i nici.

Często przypadkiem rozredze się surdut w miejscu widocznem. Jeżeli sporządzimy w sposób zwyczajny to rozdarcie, to znać będzie szew, mocno szpecący często jeszcze nowy surdut. Można jednak tego uniknąć, zwłaszcza jeżeli rozdarcie nie będzie wielkie. Potrzeba wziąć listek gutaperki, ukrajany cienko jak papier i ten z lewej strony sukna ułożyć na starannie zbliżonem do siebie rozdarciu, i pokrywszy to kawałkiem płótna, gorącym żelazkiem zaprasować. Gutaperka się rozpuszcza i przykleja sukno do płótna, tak, że i śladu trudno dojrzeć rozdarcia, jeżeli naturalnie brzegi sukna były dobrze do siebie złożone.

ROZMAITOŚCI.

— Przez wiele lat, pod kościołem Ś-go Andrzeja w Antwerpji, siadywała zrana zgrzybiała staruszka i ku przecho-

dzącym drzącą wyciągała rękę. Marja B. nigdy jej nie pominęła, ażeby nie dać drobnej jałmużny, chociaż sama była uboga. Jednego dnia wszakże nie dała nic; wielkie ją spotkało nieszczęście: jej brat, jedyna podpora matki i młodszego brata, na dzień przedtém zły numer wyciągnął i musiał iść do wojska. Ze spuszczoną głową i czerwonymi od płaczu oczami, wyszła z kościoła. Dwie kobiety przeprowadzały ją oczami „Biedna Marja,” powiedziała jedna, „że też nieszczęście do jej właśnie drzwi zapukało.”—„A cóż to za nieszczęście?” zapytał ktoś za nimi. Kobieta się obejrzała, spostrzegła staruszkę i opowiedziała o wszystkim. „Wiele kosztuje zastępca?” zapytała znowu staruszka. „O, bardzo drogo, od pięciuset do siedmiuset franków.” Poczem wszyscy się rozeszli. Nazajutrz Piotr miał już właśnie wyruszyć, gdy nagle zapukano do drzwi; bryftregier przyniósł list z pieniędzmi, których było siedemset franków, z dopiskiem: „Kto ubogim daje, temu Bóg użyczy!” Marja znowu dawała grosze staruszce, która je z uśmiechem przyjmowała. Żebraczka przed niedawnymi czasami umarła, i testamentem przekazała Marji B. tysiąc franków.

— Na targ w Sztrasburgu przywożą corocznie przeszło 200,000 gęsi. Żona wyrobnika, nie mającego zajęcia przez zimę, tucząc gęsi, żywi całą rodzinę, kobiety z niewielkim kapitałem mają po 400, po tysiące, po dwa tysiące takich wychowanek. Handel pasztetami z gęsi włączył, w przeciągu sześciu miesięcy, wprawia w ruch przeszło trzy miliony franków.

— Godnem jest uwagi, że nieznanymi

jest ani jeden wypadek, ażeby kiedy uderzył piorun w wagon na kolei żelaznej, statek parowy albo inny jaki żelazny budynek. Oszczędza on także telegrafistów, zajętych kierunkiem elektrycznych toków.

— W tych dniach wyszedł na widok publiczny, od lat czterech wydawany pod kierunkiem Redakcji Gazety Rolniczej, „Kalendarz dla ludu polskiego” na rok zwyczajny 1866. Zewnętrzne wydanie, jak papier, druk, drzeworyty i pięknie wykonana kolorowa chromolitografia Matki Boskiej w Skępem, przy niezmierniej taniości, bo złp. jeden za egzemplarz, zasługuje na uznanie. Układ wewnętrzny kalendarza, rozpada się na następujące działy: 1) Nauka religii i moralności. 2) Historia Święta. 3) Życiorysy dobrze zasłużonych ludzi. 4) Powieści i opowiadania z życia miejskiego i wiejskiego ludu. 5) Poezje. 6) Nauki społeczne. 7) Bajki. 8) Rady lekarskie. 9) Gospodarstwo, ogrodnictwo i leśnictwo. 10) Część informacyjna.

Z liczby autorów i autorek, których prace obejmuje kalendarz, wymieniamy następujące osoby: Kuczyński Alojzy, Juljusz Starkel, ks. Józef Osiecki, Ludwika Leśniowska, Adam Wiślicki, Jan-Kanty Turski, Emilja Leja, Wincenty Pol, Jan Kontrymowicz, Józef Grajner, Feldmanowski, Teofil Lenartowicz, Marja Ilnicka, Adam Matkowski, Aleksander Fredro, Ignacy Krasiecki, Adam Mieczysławski, Józef Gluziński i Hipolit Trąmpczyński.



(Rysował Polkowski—wciąły na drzewie Przykorski).

LEKARZ I PANI.

(Szkie z życia Warszawskiego).

Lekarz.

Dzień dobry mój pani—kłaniam uniżenie:
Jakże nóżki, jak główka—ustałoz cierpienie?

Pani, (z westchnieniem).

— Dzięki, dzięki, cierpię wiele:
Oddech ciężki i ból głowy...
I wciąż taki dreszcz po ciele,
Dreszcz okropny, dreszcz kurczowy.

Lekarz.

O! dla Boga to nie żarty;
Radzić trzeba i to zaraz...

Pani.

Z mężem moim mam ambaras,
On nie zechee — on uparty;
Pan konsyliarz pewnie na to
Kaze wody—i kąpiele?

Lekarz.

Jak najprędzej—z sił utratą,

Z razu takie bagatele,
Urość mogą niebezpiecznie...

Pani.

Więc do kąpiel!

Lekarz.

Tak! koniecznie.

Pani.

Zresztą nawet dla téj dziatwy,
Co skrufułow ma już ślady.....

Lekarz.

Tak do kąpiel—nie ma rady.

Pani.

Ale mąż mój nie tak łatwy...

Lekarz.

No, na swoją liczę zręczność;
Ona upór przewycięza,
Przekonamy pana—męza.

Pani.

Konsyliarzu!—wieczna wdzięczność!....